

Adrian Chruśzcz

Dom na skraju niczego



SEQQM

Adrian Chrzyszcz

Dom na
skraju
niczego

Redakcja

ELŻBIETA KUSZMIDER

Korekta

KATARZYNA KRZAN

Okładka

ZOFIA STYBOR

Skład

KATARZYNA KRZAN

Druk i oprawa

Bookpress.eu

Copyright © by Adrian Chrząszcz 2026

Copyright © for this edition by

Wydawnictwo Seqoja 2026

ISBN DRUK: 978-83-67935-46-3

ISBN e-book: 978-83-67935-47-0

Wydawnictwo Seqoja

ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn

tel. 534 834 852

e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl

www.seqojawydawnictwo.pl

Olsztyn 2026

wydanie I

Dla Piotra, za wsparcie

W domu na skraju niczego otwarte drzwi
Nigdy i nigdzie już nie będzie tak smutno.

(Fragment utworu „Dom na skraju niczego” Kartky’ego)

Dom na skraju niczego

Linia między istnieniem a nieistnieniem jest tak cienka, że prawie niezauważalna. W pewnym sensie przypomina płomień zapalki – wystarczy delikatny podmuch, aby zgasić ją na zawsze. To samo dotyczy każdego organizmu we wszechświecie. Trwałość jest kłamstwem, w które chcemy wierzyć. Wszelka materia jest zaledwie skupiskiem atomów, które mogą zostać zniszczone na rozmaite sposoby.

Podnoszę kubek z parującą kawą i wychodzę na zewnątrz. Wcześniej – gdy ekspres wykonywał czynność, do której został stworzony – nałożyłem buty, więc nie czuję porannej rosy na stopach. Przypominam sobie słowa moich dziadków, którzy zwykli powtarzać, iż poranny spacer na bosaka potrafi zdziałać cuda... Czy istnieje szansa, że przyniosłby też ulgę zdewastowanej duszy?

Coraz bardziej oddalam się od frontowej werandy. Wiem jednak, że nie zajdę daleko. Zatrzymuję się, upijam odrobinę kawy, wsłuchuję w delikatny, letni wiatr. Niesie ptasią pieśń, jakby podniosłe rekwiem. Wzrokiem poszukuję śpiewaków, moich towarzyszy. Siedzą na jednym z dębów, w pobliżu miejsca gdzie... wszystko się kończy.

Mam wrażenie, że widzę moją żonę i córkę, bawiące się na polanie pośród niskich drzew. Trwają w statycznych pozach, nie wykonując nawet najmniejszego ruchu. Przypominają posągi z marmuru, które ktoś ustawił na nadmorskiej

promenadzie. Mam wrażenie, że dostrzegam roześmianą buzię Marleny, która biega za latającymi wolno motylami... I że jestem w stanie dostrzec delikatny uśmiech Dagmary – jeden z tych, którym rodzice obdarzają dziecko, widząc jego niewinność, szczęście...

Ale nic z tego nie jest prawdą.

Jestem w stanie dostrzec jedynie nieskrępowaną, fraktalną ciemność. Nieskończoną czernią, która pochłania wszelkie istnienie, gdy tylko wyznaczona granica zostanie przekroczona. Przyglądam się tej wygłodniałej bestii, która choć jest ucieleśnieniem moich koszmarów, to nie posiada ciała ani twarzy, w którą mógłbym napluć. Ktoś bardziej inteligentny ode mnie mógłby uznać, że ta bestia symbolizuje coś konkretnego, ale ja nie mam zamiaru tego roztrząsać. Nie obchodzi mnie to. Obchodzi mnie jedynie smutek i poczucie winy, które przeżywam w ciszy i samotności – od długiego, zbyt długiego czasu.

Bezkształtna masa czerni pojawiła się znikąd. Jednego dnia mogliśmy wyjść na rodzinny spacer po okolicznych lasach i dolinach, odwiedzić sąsiadów. A już następnego to wszystko zniknęło, jakby zostało wymazane, jakby było ledwie szkicem. W życiu nie ma nic trwałego, ale taka nagła nicość była jednak czymś niespotykanym.

Pamiętam, że tamtego dnia planowaliśmy właśnie taki rodzinny spacer. Mieliśmy pójść na pewną polanę w pobliskim lesie – według słów naszej najbliższej sąsiadki, to właśnie tam rośnie mnóstwo jagodowych krzaczków. Po powrocie do domu mieliśmy zamiar pojechać samochodem do najbliższego miasta. Marlena nie miała pojęcia, że ja i Dagmara

uznaliśmy, że właśnie tego dnia adoptujemy dla niej szczeniaka, o którego prosiła tak długo, tak zawzięcie.

Kawa zaczyna stygnąć, ale ja przestaję zwracać na nią uwagę. Gdy stoję na małym spłachetku ziemi, jaki mi pozostał, przed oczami pojawiają mi się odrażające wspomnienia. Zaczynam płakać, ale wspomnienia są uparte, nie mogę o nich zapomnieć. Często chciałbym to zrobić – zapomnieć. Jednak nie potrafię.

Tamtego dnia Dagmara dopilnowała, aby nasza córka założyła odpowiednie buty. Dzieci miewają naprawdę dziwne pomysły – choć w ich umysłach zdają się rozsądne – więc nie zdziwilibyśmy się, gdyby na wyprawę do lasu założyła sandały. Na dworze jest przecież gorąco, prawda? Moja żona dopilnowała więc, aby Marlina założyła wygodne adidas. Ja w tym czasie wyłączyłem telewizor, w którym nasza córeczka przed wyjściem oglądała bajki, zakręciłem zawory z wodą oraz gazem. Aż do tamtego momentu było to moje natręctwo – nigdy nie wychodziłem z domu bez zakręcenia tych dwóch zaworów. Obawiałem się zalania lub wycieku gazu, a w konsekwencji wybuchu.

Możliwe, że miało to związek ze snami, które miewałem w dzieciństwie.

Do dziś pamiętam, jak w przedszkolu ni stąd, ni zowąd zacząłem płakać, gdyż w umyśle pojawiały mi się przerażające wizje, że właśnie w tym momencie blok, w którym wówczas

mieszkalem z rodzicami, stanął w płomieniach. Możliwe, że tak właśnie było, ale teraz... Teraz nie ma to żadnego sensu. W dniu, w którym najdroższe mi osoby zniknęły, przestałem obawiać się wybuchu gazu, widmo ciała spalanego w ogniu przestało mnie nawiedzać. Tamtego dnia przestałem zakręcać zawory przed wyjściem.

– Kochanie! Będziemy czekać na ciebie przed domem! – doleciało do mnie z przedpokoju, gdy mocowałem się ze stalowym pokrętle w łazience

– Dobrze, zaraz przyjdę – odparłem lekko napiętym z wysiłku głosem.

– Tylko szybko, tatusiu! Nie każ nam długo czekać! – po-nagliła mnie córka.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Drzwi się otworzyły, a następnie zamknęły.

W domu zapanowała cisza, przerywana jedynie moimi sapnięciami. Nie trwały długo, zawór w końcu się przekręcił, a ja nałożyłem buty, przez ramię przerzuciłem cienką kurtkę, po czym wyszedłem na zewnątrz.

Twarz owionęło mi ciepłe powietrze. Delikatny wiatr muskał skórę, uspokajał, orzeźwiał. Drzewa nieznacznie falowały w jego rytmie, liście szumiały, ptaki nuciły swoje pieśni, których treść znają jedynie one same. Gdzieś w oddali rozlegał się warkot przejeżdżającego traktora i szczekanie psa, który najpewniej ten traktor gonił (lub usiłował przegnać z terytorium, które należało tylko do niego). Wszystko było tak, jak zawsze. Nic nie zapowiadało dramatycznych zmian – bydło nie umierało, truchła ciem nie leżały pomiędzy źdźbłami

trawy, stara Cyganka nie wróżyła malującej się w grobowych barwach przyszłości. Krótko mówiąc, nie pojawił się żaden zły omen. To nieprawda, że każda tragedia jest nim poprzedzona. Zazwyczaj rozgrywają się w ciszy. Tylko niektóre potrzebują rozgłosu, tak jak ludzie.

Zszedłem z werandy. Zacząłem iść w kierunku Dagmary i Marleny, które znajdowały się kilkadziesiąt metrów ode mnie. Marlena biegła po małej polanie, gdzie niskie drzewa powoli przechodziły w wysokie, a następnie w jeszcze wyższe, tworzące gęsty las.

I wtedy rozegrała się moja własna tragedia, zbyt nieistotna dla świata, aby towarzyszył jej krzyk czy jakikolwiek inny dźwięk. Zbyt nieistotna, choć dotycząca nie tylko mnie, ale także tego świata. Zza horyzontu wypłynęła kopała czerni – wysoka, sięgająca nieba, a być może nawet kosmosu. A może, kurwa, nawet nieskończona, jakie to ma znaczenie? Czerń w zawrotnym tempie zaczęła pochłaniać wszystko, co znajdowało się na jej drodze. Wchłaniała w siebie domy, pola, pojazdy, zwierzęta i... ludzi. Nie zdążyłem nawet krzyknąć, gdy Marlena z Dagmarą zniknęły bezpowrotnie; rozplynęły się, jakby nigdy ich tu nie było. Polana została wymazana z istnienia, a one – w tamtej chwili będące jej częścią – zniknęły razem z nią. Nie krzyknęły. Marlena była zbyt zajęta zabawą, a Dagmara patrzyła na mnie z uśmiechem. I być może ten uśmiech jest dla mnie błogosławieństwem, bo nie musiałem widzieć przerażenia w jej spojrzeniu, które pojawiłoby się, gdyby uświadomiła sobie, że to koniec, że właśnie ginie wraz z córką. Czerń napierała jeszcze chwilę w moim kierunku; nie

uciekalem, sparaliżował mnie strach. I gdy myślałem, że również zginę, nagle przestała napierać.

Rozejrzałem się. Anomalia pochłonęła okoliczne tereny, zostawiając mój dom oraz nieduży owalny wycinek terenu dookoła. Tylko tyle zdążyłem zauważyć, zanim zemdlałem.

Właśnie w taki sposób utraciłem to, co kochałem całym sercem. Anomalia mnie nie zabrała; tamtego dnia, gdy zbliżała się w moim kierunku, obawiałem się tego, zwierzęcy instynkt przetrwania bał się końca istnienia, ale teraz żałuję, że się zatrzymała, że skazała mnie na taką egzystencję. Czuję się jakby odebrała mi serce i zdolność odczuwania. Zdolność odczuwania czegokolwiek poza dławiącym smutkiem, który niekiedy mnie dusi, ale nigdy nie robi tego do końca. W końcu znów łapię oddech, choć chciałbym tego nie robić. Czuję się jak skamielina, albo posąg. Zastygła w bezruchu bryła, w którą zamieniam się każdego dnia. I trwam tak przez wiele godzin. Niebo staje się coraz ciemniejsze, nade mną – na nieboskłonie, który nadal rozciąga się nad owalem terenu, na którym stoi mój dom, moją zawieszoną w niebycie wyspą – zaczynają pokazywać się – jak wycięte z ciemności – pojedyncze gwiazdy, niczym kilkanaście skierowanych w moją stronę par oczu. Dopiero wtedy wracam do ciała, przestaję wpatrywać się w mrok, w miejsce, gdzie ostatni raz widziałem umiłowane istoty. Kawę wylewam na ziemię, jest zimna.

Spis treści

Dom na skraju niczego	5
Wyklęci	20
Szuflada	23
Strażnik	35
Odpowiedzialność zbiorowa	62
Kryjówka	81
Noc potomstwa	87
Olchowa wola	114
Teatr anatomiczny	129
Oczyszczające zderzenie	131
Wiejska speluna	147
Niedaleko pada jabłko od jabłoni	186
Jedna noc	198
Ku niepamięci, ku zapomnieniu	215
Z głębin	224
Strata	280
Na uwięzi	285
Martwy las, martwe serce	287
Noty do opowiadań	302

SEQOJA